

JEAN-CLAUDE MOURLEVAT

Jefferson

daje z siebie wszystko

dwie siostry



JEAN-CLAUDE MOURLEVAT

Jefferson

daje z siebie wszystko

ilustrował
Antoine Ronzon

z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2025

Dla Colina, który zna się na jeźdźcach.

jcm

Uwaga autora

Ta opowieść zaczyna się w krainie, gdzie żyją zwierzęta, które rozmawiają, chodzą na dwóch nogach, noszą ubrania, potrafią gotować makaron i naprawić piec centralnego ogrzewania. W sąsiedniej krainie żyją ludzie, którzy są najinteligentniejszymi zwierzętami.

Furgonetka marki Renault, która w zimnym deszczu jechała z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, z pewnością pamiętała czasy młodości dziadków kierowcy. Lekko przechylała się na prawo, zgniłozielona karoseria wyraźnie wiele przeszła, a dwa okrągłe reflektory sprawiały, że wyglądała jak smutne zwierzątko.

Zaraz za przystankiem autobusowym skręciła na lewo w polną drogę i pomalutku dotoczyła się do domku na jej końcu. Kierowca tak ustawił auto, żeby łatwo dało się odjechać, zaciągnął hamulec ręczny i nacisnął klakson, który wydał z siebie zachrypnięte i dość śmieszne „dong, dong”.

Cały prawy bok pojazdu zajmował rysunek w żywych kolorach: czerwonym, żółtym, zielonym... Przedstawiał roześmianego młodego prosiaka w kombinezonie roboczym, z wielkim kluczem francuskim na ramieniu. Nad jego głową widniały

różnobarwne, jakby wypisane ręcznie litery, które układały się w słowa:

Kłopoty z ogrzewaniem? Gilbert pomoże!

I mniejszymi literami:

Koty CO, grzejniki, wentylacja...

A pod spodem znajdował się numer telefonu.

Najśmieszniejsze, że z furgonetki wyskoczył osobnik podobny kropka w kropkę do postaci na rysunku, tyle że bez klucza francuskiego. Cicho zamknął drzwi, truchcikiem podbiegł do domku i zapukał. Całym sobą okazywał radość i niecierpliwość.

– Jeff! Otwieraj!

Nie było mowy, żeby Jeff usłyszał. Tak bardzo pogłodził muzykę, że od basów drżały szyby w oknach. Gilbert bez trudu rozpoznał Sang-Song, jedną z najlepszych grup rapowych w krainie zwierząt. Składała się z trzech niezwykle pomysłowych loch tryskających energią. Ich utwór *Byłam o włos* figurował w pierwszej dziesiątce przebojów roku. Wszyscy znali zakończenie: „A powyżej pasa – nie od parady łeb”, co znaczyło: jesteśmy nie tylko śliczne i pełne wdzięku, ale też mądre! Niedługo w mieście miał się odbyć koncert zespołu.

– Jeff, otwieraj! To ja! – zniecierpliwiał się Gilbert i postanowił zapukać w okno.

Muzyka zaraz ucichła i kilka sekund później w drzwiach stanął Jefferson. Był to młody jeź wzrostu około siedemdziesięciu

centymetrów – czyli mógłby spokojnie przejść wyprostowany pod stołem wyprodukowanym dla ludzi. Gilbert był wyższy od niego o jakieś piętnaście centymetrów. Chociaż Jefferson siedział sam w domu, miał na sobie idealnie wyprasowane spodnie, sweter w żółto-zieloną kratę, a na głowie uroczy czubek, którego koniuszek usztywniony odrobiną żelu kokieteryjnie zaczesał na lewą stronę.

– Wejź.

– Nie, nie wejść. Ty wyjdź. Mam niespodziankę.

Jefferson jakoś zdołał ukryć niezadowolenie. Zasiadł do powtórek przed egzaminami i niespodziewana wizyta przyjaciela niezbyt mu odpowiadała.

– Dobrze. Włożę tylko buty.

Gilbert patrzył, jak jeź stawia najpierw prawą, potem lewą nogę na taborecie ustawionym przy wejściu specjalnie w tym celu i odkłada do szafki kaptcie, które za dziesięć minut włoży z powrotem. On był z tych, którzy zrzucają z nóg buciory i wykopują je na drugi koniec pokoju, ale już dawno przestał się naśmiewać z Jeffersonowej skrupulatności. Tym razem także czekał, powstrzymując się od uwag, ale w środku aż go skręcało.

Jefferson zastygł jak posąg na widok furgonetki zaparkowanej przed domem, ozdobionej kolorowym rysunkiem i prostym, choć bardzo wyrazistym napisem:

Kłopoty z ogrzewaniem? Gilbert pomoże!

– Przedstawiam ci Titinę! – oznajmił dumnie Gilbert.

– Twoja?

– No przecież nie mojej ciotki! I co myślisz?

– O reklamie? Super. Siostra ci namalowała?

– No. Mocne, nie?

– Taaa, fajne. Ale ta furgonetka...

– Co z nią?

Jeffersonowi nie wypadało powiedzieć, co naprawdę myśli: furgonetka wyglądała na rozklekotaną, zajeżdżoną, u kresu życia.

– Ile ma na liczniku?

– Jeff, niegrzecznie jest pytać starszą panią o wiek. Przepróś i wsiadaj.

W kabinie było zadziwiająco ciepło, ale tego w końcu można było oczekiwać w samochodzie specja od ogrzewania. Kolejny plus: silnik, którego Gilbert nie zgasił, pracował równo.

– Słysząc silnik.

– Co?

– SŁYCHAĆ SILNIK!

– A pewnie – ze śmiechem przyznał Gilbert. – Przynajmniej wiadomo, że jest.

Przypomniał Jeffersonowi, że auto oficjalnie od miesiąca należy do niego i że tę niespełna trzydziestoletnią ślicznotkę podarowali mu rodzice – bardzo ich na to namawiał kuzyn Roland,

tak, tak, ten, który jest kierowcą w Agencji Włóczęgowski i mechanikę ma w małym palcu. Na pierwszy rzut oka furgonetka wydawała się dość sfatygowana... „A na drugi jeszcze bardziej” – pomyślał Jefferson, zauważając plamkę rdzy na desce rozdzielczej.

– O nie, mój panie, to nie rdza – sprostował Gilbert, który poszedł za wzrokiem przyjaciela. – To korozja.

Ponieważ mocniej się rozpadało, uruchomił wycieraczki i Jefferson wybuchł śmiechem: jedna ślizgała się gładko po szybie, za to druga się zacinała i wyglądało to tak, jakby drobiła truchcikiem za siostrą. Kto inny pewnie by się obraził, Gilbert jednak należał do tych, którzy nigdy nie przepuszczają okazji do ubawu, skończyło się więc na tym, że obaj ze śmiechu trzymali się za brzuchy. Takie napady wesołości zdarzały im się od podstawówki. Czasem drogo ich to kosztowało, ale nawet kara ich nie przerażała, kiedy mogli się pośmiać. Prawie zawsze zawstydzeni lądowali w kącie z rękami założonymi za plecy i wtedy musieli bardzo się pilnować, żeby nie spojrzeć na siebie, bo znowu zaczęliby się chichrać.

Gilbert zaczynał pracę na własny rachunek! Jefferson ze zdziwieniem stwierdził, że zazdrości przyjacielowi, który już nigdy nie będzie musiał zdawać egzaminów ani dbać o ocenę. Po trzech latach nauki miał zawód, zaczynał zarabiać pieniądze, będzie wolny, niezależny. Ha, Jefferson nawet widział go

już w nieodległej przyszłości jako męża i ojca. A tymczasem on wpakował się w wieloletnie studia. Co mu to da? Geografia jest oczywiście pasjonująca, ale zostało mu jeszcze pięć semestrów, zanim dostrzeże światelko w tunelu, a i to pod warunkiem, że nie powinie mu się noga.

– Słuchaj, muszę cię zostawić, Gilberte. W poniedziałek zaczynają mi się egzaminy, idę zakuwać. Od rana siedzę murem nad książkami.

– Murem nad książkami! Ha, ha, ha... Słuchając Sang-Song?

– Weź przestań, zrobiłem sobie przerwę. Napijesz się kawy?

– Nie, wpadłem tylko, żeby ci pokazać furę. Mam tu niedaleko naprawę awarii, wstąpiłem po drodze. A potem zajrzę do klientki, którą znasz. Pamiętasz Simonę? Była z nami na wyprawie z Agencją Włóczęgowski.

Jasne, że Jefferson pamiętał! Cztery lata wcześniej pojechali z tą agencją na wycieczkę do Grodburga w krainie ludzi. Był to najlepszy sposób, żeby incognito poprowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa pocziwego pana Edgara, fryzjera z salonu Rachu-Ciachu. Simona, wysoka młoda króliczka o skłonnościach do depresji, bardzo ich polubiła. Ona jedna wybrała się na wycieczkę w pojedynkę i okazała się bardzo ujmująca. C o n a j m n i e j u j m u j ą c a .

– A, świetnie. Wejź na taboret i ucałuj ją ode mnie. Koniecznie się dowiedz, czy znalazła męża.

– Załatwione.

Jefferson wysiadł z furgonetki i stanął pod daszkiem przy wejściu, żeby schronić się przed coraz silniejszym deszczem. Patrzył za odjeżdżającą furgonetką, która po chwili znikła z ostatnim przyjaznym „dong, dong”.

Spojrzał na zegarek. Siedemnasta. Do kolacji zostało trochę czasu, jeszcze przez dobrą godzinę mógł się pouczyć. Zagłębiając się na powrót w mapy Ptolemeusza, który umarł w sto sześćdziesiątym ósmym roku naszej ery, zastanowił się po raz kolejny, czy na pewno tak powinno wyglądać prawdziwe życie i czy nie zrobiłby lepiej, gdyby nauczył się na przykład uprawiać pieczarki albo serwisować rowery. Pół godziny później jednak tak go pochłoneła nauka, że za żadne skarby świata nie zamieniłby jej na nic innego. Gdyby mu w tej chwili ktoś zatrafił koło ucha, nawet by tego nie usłyszał.

Ptolemeusz uważał oczywiście, że Ziemia jest zupełnie nieruchoma i znajduje się w centrum wszechświata, ale pominąwszy ten drobiazg, należało przyznać, że rysował piękne i w sumie całkiem dobre mapy. Czy gdzieś można je zobaczyć nie na monitorze, tylko w oryginale? Czy istnieją mapy jeszcze starsze?

Jefferson akurat sprawdzał to wszystko, kiedy leżący przed nim telefon zaczął wibrować i podskakiwać. Jeż uświadomił sobie jednocześnie: że jest dziewiętnasta trzydzieści, że oczy go pieką, że umiera z głodu i że dzwoni do niego Gilbert.

– Jeff, przyjdź tu szybko!
– Jak to: przyjdź? Gdzie w ogóle jesteś?
– U Simony. Mamy tu zgryz.
– Co macie?
– No zgryz. Przyjdź.
– Gdzie to jest? Ja nie mam samochodu.
– Na rowerze przyjeźdź! To jakieś dwa, trzy kilometry od ciebie. Jedź w stronę stawu. Tuż przed nim skręcasz w prawo. Trzeci dom, ten z dziwną okiennicą.

– Gilbercie, leje jak z cebra.
– Już przestało.
Jefferson zerknął na okno i musiał przyznać, że faktycznie już nie pada.

– No dobra, przyjadę...
– Pospiesz się!

Była połowa lutego, od początku zimy nie używał roweru. W złą pogodę do miasta jeździł autobusem, poza tym chodził piechotą. Wyprowadził rower z komórki, w której drzemał od ponad trzech miesięcy, odkurzył go, na szybko dopompował opony, sprawdził, czy światło działa, wskoczył na siodełko i ile sił popedałował w kierunku stawu. Złorzeczył pod nosem, kiedy na mokrej drodze błoto pryskało mu na spodnie. Znów będzie musiał je prać.

Za zakrętem zaczął liczyć domy. Pierwszy... drugi... trzeci... Wejście oświetlała lampa. A, więc to jest d z i w n a okiennica –



w lewym oknie na piętrze. Faktycznie, rzuciła się w oczy od razu. Pozostałe trzy były kremowe i mocno złuszczone, a ta miała kolor ceglano-czerwony. Widocznie Simona postanowiła wszystkie odnowić, ale skończyło się na jednej. Była nierówno pomalowana, drabina leżała na trawie koło ściany, obok puszka z farbą i pędzel. Czyżby Simona spadła i potłukła się? W takim wypadku Gilbert powinien wezwać lekarza, a nie studenta geografii.

Oparł rower o słupkę ze skrzynką na listy, na której widniało tylko imię „Simona” z kwiatuszkiem w charakterze kropki nad „i”.

Po pierwszym dzwonku drzwi się otworzyły i stanął w nich Gilbert blady jak kreda i wyraźnie nie w sosie.

– Chodź, zobacz...

Jefferson zdjął mokre buty i wszedł do środka. Gilbert mówił cicho i chodził bezszelestnie, co było u niego niezwykle. Ogromnie zaniepokoiło to Jeffersona. Podążał parę kroków za przyjacielem ze ściśniętym żołądkiem. Cztery lata wcześniej na posadzce salonu fryzjerskiego znalazł martwego pana Edgara z nożyczkami wbitymi w pierś. Musiało upłynąć kilka miesięcy, zanim się po tym pozbierał. Czy ten koszmar dziś się powtórzy? Czy Simona... nie żyje? Została pocięta na kawałki? Powieszona na haku w szafie jak żona Sinobrodego? Uduszona poduszką? Zatluczona odkurzaczem? Wyobraźnia Jeffersona pracowała pełną parą.

Przeszli przez nieduży salon, w którym panował porządek. Na niskim stoliku zobaczyli dziadka do orzechów w formie śruby i miskę pełną skorupki. Na taborecie ustawiono mały telewizor, na nim leżał program. Pod ścianami znajdowały się dwa regały pełne książek i fotografii z podróży. Jefferson zdążył zauważyć starannie oprawione w ramki zdjęcie całej grupy „włóczęgowskich”. Na pewno zrobiła je Roksana, ich przewodniczka. Simona, najwyższa, stała uśmiechnięta z tyłu.

– Tam, w gabinecie... – szepnął Gilbert i brodą wskazał kierunek.

– Myślisz, że ja... że naprawdę muszę... – zaczął Jefferson, ledwie trzymając się na nogach.

– Chodź, tam leży...

Ostatnie słowa nie pozostawiały cienia wątpliwości. Półprzytomny Jefferson wydał z siebie żalosne „freeeeeee”, minął przyjaciela, postąpił krok do gabinetu i zobaczył to, czego najmniej się spodziewał: pusty pokój. Obejrzał się pytająco na Gilberta.

– Na biurku... List.

Jefferson podszedł do biurka. Panował na nim porządek: po lewej znajdował się zamknięty komputer z bezprzewodową myszką, po prawej kubek z kolorowym bukietem ołówków i długopisów. A na samym środku, dobrze widoczne, leżały dwie zapisane ręcznie kartki A4. U góry pierwszej widniały słowa: „Drogi Gilbercie”. Jefferson znowu obejrzał się na przyjaciela.

Tytuł oryginału: *Jefferson fait de son mieux*

© Copyright for the text and illustrations by Gallimard Jeunesse, 2022

© Copyright for the cover illustration by Martijn van der Linden and Lannoo Publishers

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2025

© Copyright for the Polish translation by Bożena Sęk, 2025

ISBN 978-83-8150-623-6

wydanie I

wydawnictwodwiesiostry.pl

ilustracje: Antoine Ronzon

ilustracja na pierwszej stronie okładki: Martijn van der Linden

redakcja: Anna Mirkowska

korekta: Małgorzata Kuśnierz

skład i przygotowanie do druku: Piotr Baldyga

druk: BZGraf S.A.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

ul. Stefana Jaracza 2

00-378 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).

**DRUGA CZĘŚĆ CYKLU O JEŻU DETEKTYWIE –
PEŁNA ROZBRAJAJĄCEGO HUMORU
OPOWIEŚĆ O SILE PRZYJAŹNI.**

Melancholijna króliczka Simona jakby zapadła się pod ziemię. Został po niej tylko bardzo niepokojący list. I wyciągi bankowe, z których wynika, że od dłuższego czasu regularnie przelewała komuś duże kwoty. Jeź Jefferson i prosiak Gilbert postanawiają sprawdzić, co się wydarzyło. Nie wiedzą jeszcze, jak niebezpieczna przygoda ich czeka...

**Powieść cenionego francuskiego
autora książek dla dzieci i młodzieży,
laureata prestiżowej Astrid Lindgren
Memorial Award (2021).**



**THE ASTRID LINDGREN
MEMORIAL AWARD**

©Illustrations: Björn Berg, Hgrid Vang Nyman, Ilon Wikland.

Zabawna, żywa, czuła i wspaniała. Czysta przyjemność.

„Télérama”

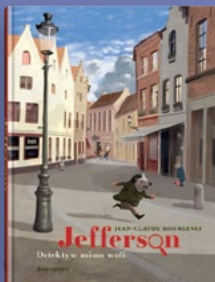
Pochwała przyjaźni i radości życia.

„Le Temps”

Inteligentna i urocza książka, pół thriller, pół bajka.

„Le Quotidien du Luxembourg”

Polecamy pierwszy tom:



ISBN 978-83-8150-623-6



9 788381 506236 >

wydawnictwodwiesiostry.pl